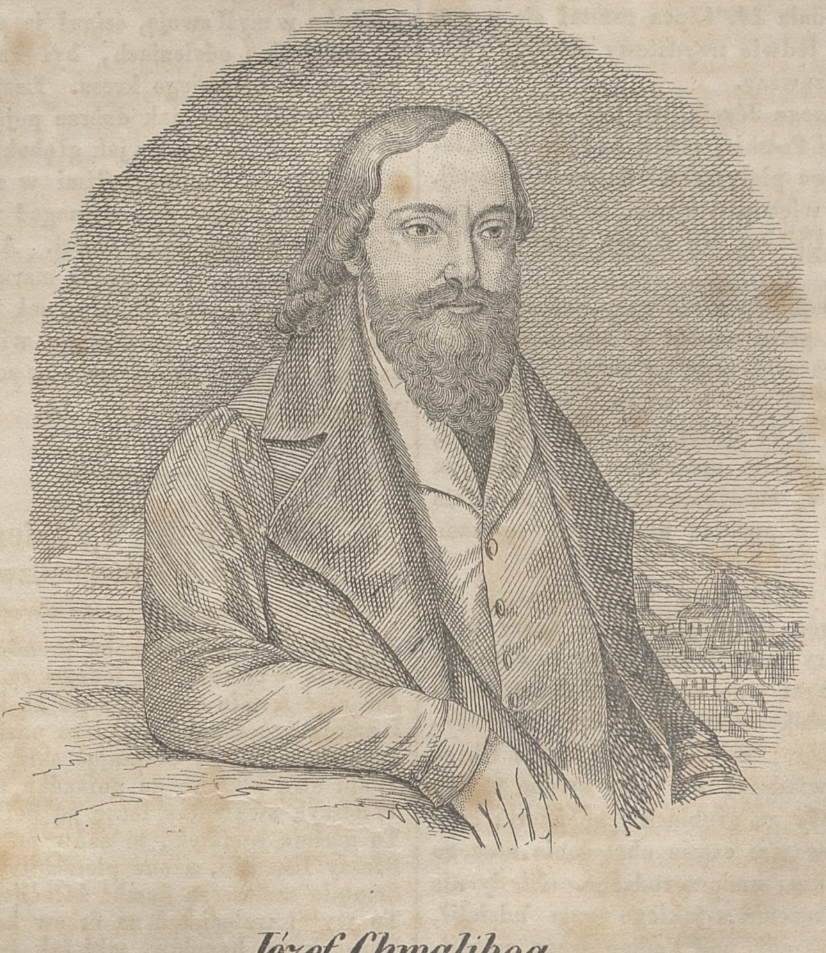
Nr. 12. **Rok 14.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 20. Marca 1847.*

Józef Chwalibóg. — Poezya Jasnogórskiego. — Obraz Anglika za granicą, skreślony przez Anglika (dokończenie). — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.



Józef Chwalibog.

Józef Chwalibóg.

W roku zeszłym wyszło w Poznaniu dzieło Chwaliboga, pod tyt.: *Zarysy myślenia z wiary.* Przydany do niego wstęp zawiera krótką wiadomość o autorze, którą tu umieszczamy:

„Dzieło, które wydajemy, napisał ś. p. Józef Chwalibóg, przyjaciel nasz za życia swego ziemskiego, a mamy nadzieję, że i dzisiaj również przed Chrystusem Panem. Poruczył on nam jego wydanie przed śmiercią jeszcze swoją, prosząc tylko, aby wyszło bezimiennie. Ale zaledwie wrócił do swojéj rodziny, kiedy po krótkim przeciągu czasu z woli Bożéj żyć przestał. — Śmierć sprawiła, że dzieło, które przez autora swego miało być pogrzebaném za życia, stanie się teraz jego imieniowi żyjącą pamiątką.

„Józef Chwalibóg krótką odbył na tym świecie pielgrzymkę; bo urodzony w roku 1808. w dzień Zwiastowania Najświętszéj Panny, już w 1841 roku dnia 14. Lipca rozstał się z tym światem, rok ledwie trzydziesty czwarty swojego życia zacząwszy.

„Życie naszego Józefa już jest opowiedziane publiczności Polskiéj przez X. Hołowińskiego w opisie jego pielgrzymki do ziemi świętéj. Nie będziemy więc powtarzali, co już jest powiedzianém. Uiścimy się z tego tylko, co do nas należy.

„Józef Chwalibóg, wróciwszy z ziemi świętéj do Rzymu, przemieszkał w nim siedm miesięcy. Tam go widywaliśmy często i poznaliśmy z bliska. W tym to właśnie czasie napisał dzieło, które na widok publiczny wychodzi, przerabiając rozmaite uprzednie myśli jego za lat młodocianych, stawiające się przed umysłem jako pytania, a podczas pielgrzymki ujrzane jako odpowiedzi.

„Czasu pobytu swojego w Rzymie czuł się Józef Chwalibóg na umyśle i na duszy jako człowiek, który po wielkiéj burzy zawinie do przystani. Umysł jego rozpływał się w jasności prawdy Bożéj, dusza jego tonęła w słodyczy dobra Bożego; rzewne łaski, jakie Chrystus Pan wyświadczył mu przy swoim żłobie i grobie, drgały w głębiach jego istoty: całe jego istnienie w tym czasie obcowania naszego było nadziemskie, nadprzyrodzone. Nigdy nie zapomnimy wrażenia, jakiego nam udzielił, kiedy już przyszedł pod koniec pracy swojéj. „A Słowo ciałem się stało“ było ostatnim kresem jego myśli; ku temu zmierzała wszystka praca jego rozmyślania; — i kiedy myśl ducha jego na tym się punkcie oparła po długiéj podróży jego, stała się wtedy w jego istocie jakoby światłość i ciepło dzienne, i cała dusza jego błogo odetchnęła. Pobiegł natychmiast do kościoła Santa Maria Maggiore, kędy odwieczna pobożność przechowuje owo drzewo wyżłobione, gdzie nasz Zbawiciel złożony był po urodzeniu swojém, aby tak do owego dowodu rzeczonego przywiązać dowód swéj myśli i ducha. Tam ze wschodzącém słońcem zastaliśmy go uczestniczącego w tajemnicy Słowa, które się ciałem stało, a w kilka chwil późniéj dowiedzieliśmy się o tajemnicy ducha jego. Nie podobna jest oddać wrażenia, jakie sprawia myśl żyjąca; myśl martwa, która się na tych kartach, pod temi głoskami zawiera, nigdy tego wrażenia nie powtórzy.

„Pisząc to dzieło autor nasz, zatapiał się głęboko w myśl swoją, ścigał ją po wszystkich jéj zwojach i odcieniach, był zawsze jéj panem aż do ostatniego kresu. Lecz czy równie szczęśliwie oddał jak dobrze pojął? Czy był równie dobrym artystą jak głębokim badaczem? Nie wszystko między ludźmi w równi z sobą idzie, więc trudno jest wymagać w tém samém dziele wszelakiéj doskonałości. Atoli przestrzegamy krytykę, że są groby marmurowe pełne okrasy budowniczéj, które jednak trupów w sobie chowają, i są świątynie z wierzchu niepozorne, które jednak mieszczą w sobie Boga żywego.

S.“

Wielki Tydzień,

Wieczór Wielkiego Czwartku.

(Ustęp z większego obrazu.)

Już złote słońce ostatnim promieniem
Olśniało wzgórza, noc jedném ramieniem
Już ująć ziemię spieszy z po za krańca,
I zmrok przed sobą pędzi za posłańca.
Ptaszek troskliwy oblatując skrzętnie,
Wabi swą ptaszkę do gniazdka natrętnie,
Wietrzyk swawolny lecąc po dolinie,
To muśnie kwiatek, to znów po krzewinie
Płoszy listeczki, a one pierzchliwe,
Smutnie szeleszczą dumki żałośliwe;
To wyżéj wzleci, aż na drzew konary,
Nócąc hymn hymnów, taki jak świat stary.

Ludzie od pracy i dziennego znoju
Strudzeni, pragnąc miłego spokoju,
Biegną do domów, na łonie rodziny
Wytchnąć, naprzeciw maleńkie dzieciny
Biegną powitać drogiego rodzica:
Tak szczęściem żyje cała okolica.
W mieście tam ławki przed małemi chatki
Obsiedli ojce, dziateczki i matki,
Krewny też zdala przyszedłszy w gościnę,
Powiększa dzisiaj nie jednę rodzinę:
Bo Święto Paschy, wedle praw zakonu,
W jerozolimskim Pana Panów domu
Obchodzić zwykli wierni w Izraelu.
I tak na Święto zeszło się już wielu,
Sami i z dziećmi, co lubo znużone,
Nowością zabaw biegą przynęcone,
Wabią mniéj śmiałych, wziąwszy się za dłonie
Dopełnić koła w rówienników gronie.
Tam raźne chłopcy w rózgi świeże zbrojni,
W szyku bojowym stają niespokojni,
Inni znów procą do celu rzucają,
Tak się za sławą już dziś ubiegają.
Ówdzie dziewczynki, bliżéj matek, skromne,
Łagodnych przestróg i zdrowych rad pomne;
Małe ogródki polewając wodą,
Kwiateczków świeżych cieszą się urodą;
Lub też śpiewając roskosznie, wesoło —
W pląsach ochoczo hasają w około.
Ojce z krewnymi różne gadki prawią:
O urodzajach, lub czy też co sprawią
Wieści tak głośne o Nazarejczyku,
Co go to w Sabat wśród ludu okrzyku,
Palmami ścieląc drogę, wprowadzono
I izraelskim Królem okrzykniono.
A matki tylko troskliwe, w milczeniu
Z ukosa patrząc, myślą w przeznaczeniu
Swych córek losu badają ciekawie,
Jak dzieci marząc o szczęściu w zabawie.

Mrok już zapada — gwar w mieście ustaje —
Księżyc wóz tocząc przez powietrzne kraje,
Płynąc po fali sinego obłoku,
Smętny ziemskiemu obraz stawia oku.
Sen słodki zwolna lecąc ponad strzechą,
Rólnika naprzód kołysze pociechą,
I słodkich marzeń zwodnym szczęścia cieniem,
Cieszy prostaczka przyjemném złudzeniem.
A ululawszy płaczące dzieciny,
Braci Aniołów z niebieskiéj krainy
Zzywa na ziemię, by im jeszcze jeden —
Może ostatni — raz pokazać Eden.
Lecz jeszcze matka pozostała jedna —
Onaż nie zaśnie? wszak usnęła biedna —
Ale i we śnie nie wolna od troski —
I tu swéj córki bada wyrok boski.
Usnął i zbrodzień — choć w miękkiéj pościeli,
Choć go od tłumu potężny gród dzieli,
Czemuż sen jego nie tak miły, słodki,
Jak sen rólnika — on niepewny wiotki.
Usnęli wszyscy, a ziemia się cała
Do snu słodkiego wnet ukołysała.
I zstąpił pokój, brat snu zwodniczego,
By dać skosztować szczęścia niebiańskiego.
Lecz jedna dusza wśród wszystkich pokoju —
Czuwała dzisiaj wśród cierpień i znoju —
Dawca pokoju — Bóg — dręczony trwogą,
Męczył się naprzód swoją męką srogą. —
Bóg-człowiek, świętą spełniwszy wieczerzę,
Dać ma swą męką świadectwo téj wierze,
O któréj światu przez trzy kazał lata,
Bóg miał być wydan za bezprawia świata;
On co świat stworzył, On, Pan wiecznéj chwały,
Stał się w pokorze, tak jak człek mały.
O jeszcze mniejszy — On Mistrz nad mistrzami,
Pokory serca pomiędzy uczniami
Nie widząc takiéj, jakiéj było trzeba,
By przez wiek wieków dzierżyć chwałę nieba;
Bóg, Syn człowieczy, Pan duchem ubogi,
Swych miłych uczniów poumywał nogi;
Tak się uniżył, że i Judasz zdrajca
Nie był wyłączon, chociaż winowajca.
Skończył wieczerzę pierwszą i ostatnią,
Na pożegnaniu miłością ich bratnią
Stara się złączyć — onych wątłych ciałem,
Spętanych jeszcze téj ziemskości kałem:
„Wiarą, nadzieją, miłością złączeni,
„Jesteście więcéj jak bracia rodzeni;
„A jak do końca jam was umiłował,
„Miłujcie ludzkość, by się nie zepsował
„Pokój mój, który ja wam dzisiaj daję.
„Przyszłać godzina, kiedy syn człowieczy
„Wam żywot wieczny śmiercią zabezpieczy.
„Maluczko, mówię, już mnie nie ujrzycie,
„Zasię maluczko znów mnie zobaczycie;
„Lecz znów odejdę, zasiąść na prawicy
„Ojca, co siedzi w niebieskiéj stolicy.
„Ale ufajcie, nie trwóżcie się w sobie,
„Czuwać nad wami będę w każdéj dobie,
„Innego zeszlę wam Pocieszyciela —
„Ducha méj prawdy, dusz Uświęciciela;
„On was oświeci, nauczy i tego,
„O czém i mówić do ducha słabego
„Nie mógłem dawniéj; potém to pojmiecie,
„Kiedy go z wiarą w swych sercach przyjmiecie.“
Ducha ludzkiego — będąc sam człowiekiem —
Znając Bóg — Jezus, widząc niedalekiém
Swoje odejście, prosi za tych Ojca,
Co dziś w ślad za nim idą do ogrójca.
„Ojcze! zachowaj tych, których ja strzegłem,
„Na ziemi będąc, za którymi biegłem
„W każdéj przygodzie bronić od upadku;
„A daj im żywot za wiarę w zadatku.
„Wzmocnij ich Ojcze i poświęć Twém słowem,
„Utwierdź ich serce, by było gotowém
„Ninie i zawsze dać świadectwo o mnie.
„Onych uwielbij, ażeby niezłomnie,
„Tak jakem przyrzekł, zemną Zbawicielem
„Cieszyć się mogli niebieskiém weselem.“
Idzie przez miasto, modli się do Ojca,
Aż przeszedł progi cichego ogrójca.

Wspaniałe cedry i srebrne brzeziny,
Palmy cieniste, płaczące wierzbiny,
Nócą pieśń jednę tony złączonemi,
Smętną, przeciągłą, jak na pogrzeb ziemi.
Tu przyszedł Chrystus, by między grobami
Świętych Proroków zalewać się łzami;
Bo jemu miléj na grób łzę uronić,
Jak złemu sercu swój smutek odsłonić.
Groby! — w tych grobach leżą dziś Prorocy,
Co przed wiekami w Boga-Ducha mocy,
Świadczyli światu o Słowie wcielonėm,
O Słowie kiedyś na krzyżu męczonėm.
Tu klęknął Chrystus, kędy Adam stary!
Ściągnął na ród swój ostrą rózgę kary. (1)
Tu czart rodzica pychą pokonywa,
Lecz i tu Chrystus pokorą grzech zmywa.
A chociaż duchem on Bóg jest prawdziwy,
Ciałem on człowiek, i ból ten dotkliwy,
Co trwogi mrozem jego łono ziębi,
Pierś mu przeszywa aż do serca głębi.
Patrząc na takie Chrystusa cierpienie,
Razem ze Stwórcą smuci się stworzenie.
Złociste gwiazdy mgłą się osunęły,
Żałoby szatę na siebie przyjęły.
Księżyc strwożony patrzy z podziwieniem,
Bo odkąd Stwórca nazwał go stworzeniem
Podobnych zdarzeń jeszcze nie był świadkiem,
A z przeznaczenia, czy tylko przypadkiem,
On całém licem, pełnią okazały (2).
Gdy siostry gwiazdy twarze pochowały,
Miał świecić męce; przeświadczony o tém
Leni się, leni ze swoim obrotem,
Spostrzegł w boleści Pana na uboczy,
I jasne lice czarną chmurą mroczy.
„Ojcze“ — rzekł Jezus — „wszystko w Twojéj mocy,
„Wszak nic się bez Twojéj nie stanie pomocy;
„Oddal oddemnie ten kielich goryczy!“
Rzekł i ku niebu wzniósł swój wzrok słodyczy;
Dodał nakoniec: „Lecz nie moja, Panie —
„Twa wola święta niechaj mi się stanie!“

Obraz Anglika za granicą,
skreślony przez Anglika.

(Dokończenie.)

Czyż w Anglii nie ma nic takiego, coby cudzoziemca gniewać mogło, gdyby mu sprawiało przyjemność, polować na przeciwności i chodzić na łowy za prawdami nie przynoszącemi żadnéj pociechy? Czy jesteśmy tak wolni od błędów w politycznych i socyalnych urządzeniach? Niechże cudzoziemiec wstąpi tylko w nasze dystrykty manifakturalne, w nasze miny i kopalnie węgielne, w nasze wielkie miasta. Czyż niczego tam nie zobaczy, coby litość jego wzbudzało, coby go zgrozą i dreszczem przejmowało? Żadnéj niesłuszności, żadnego ucisku, żadnego występku? Po wszystkich rogach i miejscach będą mu okrucieństwa systemu naszego serce rozdzierały, obrzydły kontrast niezmierzonego bogactwa i niesłychanego ubóstwa, przepychu i nędzy; uprzywilejowana klassa, opływająca we wszystkie dostatki i przyjemności życia, a obok napchana ludność, która jak zgłodniali wilcy walczy o pierwsze potrzeby do życia; prócz tego pijaństwo, nieznane w ciepłych krajach, które u nas co krok obrzydzenie sprawia. Słyszy krzyk rozpaczy i gorzkie przekleństwa przechodzą po przeludnionych i okopconych zaułkach. Widzi Bóg żywy, mamy piękne składy, arystokratyczne pałace, pyszne drogi i brukowane ulice, ale wszystko to i zadowolnienie, które wzbudza, i wygoda i dobry byt, którego dowodzi, sprawia uczucie istotnéj nędzy i szerzącego się raka zepsucia tém boleśniejsze i straszliwsze. Cóż kościół nasz na porównaniu zyska? Wszakże księża nasi nigdy nie chodzą pieszo po mieście, jeżdżą tylko w powozach; symptomat niebezpiecznéj choroby. I co do zabobonu nie jesteśmy tak wolni, jakbyśmy światu chcieli wmówić. Nie dawne jeszcze temu czasy, jak Sir William Courtenay w Cast-Kent kazał, sekta Joanny Southcote kwitnie wcale powabnie, a na północy cioty i gusła w pełni. W łatwowierności żadnemu zaiste narodowi nie ustępujemy; wejrzyjmy tylko na uwiadomienia policyjne, na gry giełdowe, na projekta emigracyjne i patentowane uniwersalne lekarstwa. Czy przewyższamy inne narody w oświecie? Czy się obchodzimy szlachetniéj z uczonymi i pisarzami? Czy massa narodu lepiéj u nas wychowana? Bynajmniéj, nasz lud wyrasta wśród potrzeb materyalnych, a do wykształcenia umysłowego nie ma ani czasu, ani skłonności. Rzemieślnik nic nie zna, prócz rzemiosła swego, i ogranicza się na niém z instynktowéj i wrodzonéj obawy przed rozstrzeleniem i osłabieniem sił swych. Wychowany w téj zasadzie: że *dziesięć rzemiósł a jedenasty głód*, nie chce o niczém na świecie wiedzieć, jak o swojém rzemiośle. Ten sposób

(1) Jest podanie, iż w miejscu, gdzie był ogrójec, miał być raj Adamowy.

(2) Wiadomo, że święto Paschy u Żydów przypadało zawsze w pełnią księżycową.

Napotkania Ludwika Löfflera.



Więc będę miał ten zaszczyt?



Czekaj hultaju! —



To źle, bardzo źle!



Kochana mamo, oto mój, co niedawno —
Będziesz ty milczał?



Przepraszam — tylko chwilkę.



Dalibóg, to ona.

wychowania kształci doskonałych rzemieślników, lecz zdolności, dwie myśli połączyć, sądu i pojmowania powszechnych rzeczy spodziewać się nie należy tam, gdzie duch przygnieciony i w jeden wąski kanał wtłoczony. To jest po większéj części przyczyną téj posępności i skrytości wieśniaków naszych, które wszystkim cudzoziemcom podpadają pod oczy. W wyższych warstwach spółeczeństwa nie wiele lepiéj. Angielska konwersacya jest podobna do żałobnego marszu w Saulu. Każdy zdaje się być pogrążony w pogrzebowym smutku, najsolenniejsza powaga panuje na wszystkich obliczach, a całość przedstawia widok raczéj wszystkiego innego jak zgromadzenia ku zabawie wspólnéj i rozrywce. Gdyby cudzoziemiec, przyzwyczajony do wesołego tonu i rozmaitości, według zwyczaju zaopatrzył się w zapas wesołego humoru, i użyćby go myślał, a z zadziwienia skamieniał na widok całkiem niespodziewany, nie byłoby żadnego dziwu.

Cudzoziemiec tłómaczy sobie jak może najlepiéj, jeźli w gospodach i na publicznych miejscach wyśmieją się z jego błędów w języku Angielskim; myśli sobie, to nieokrzesane pospólstwo. Szuka za to w wyższych klassach wynagrodzenia i współczucia. Czy zawiedzie się w swych oczekiwaniach? Jest on aż nazbyt człowiekiem światowym, nazbyt skłonnym spoglądać na wszystko z pobłażaniem, i wszystko, co rzeczywiście jest chwalebném i piękném, uznawać, zresztą za wspaniałomyślny, aby kogokolwiek swemi smutnemi spostrzeżeniami trudzić! Kontrast jest uderzający, wniosek — łatwy do zrobienia.

Powracając do rzeczy, tak jesteśmy przyzwyczajeni, wszystko potępiać, co się sprzeciwia naszym zwyczajom, że rzadko nawet jesteśmy tyle sprawiedliwi, aby konieczne różnice obyczajów i sposobu życia uwzględniać. Nie pamiętamy na to, że nie jedno, co się naszym zwyczajom sprzeciwia, z właściwościami i potrzebami innéj narodowości w najlepszéj może zostawać harmonii, a nie jedno, co u nas całkiem jest dobre i właściwe, nie może przystawać do układu całkiem inaczéj ukształtowanego spółeczeńskiego życia, ani nawet do klimatu i miejscowości, które są życia tego warunkami. I tak gniewa zwyczajnego Anglika uganianie się za zabawą i rozrywką i pozorny brak zatrudnienia u ludów stałego lądu. Gdyby się cokolwiek zastanowił, musiałby przyznać, że ci ludzie podobnie jak my pracować muszą, aby się bawić, chociaż się nie z tą, jak my, kupiecką miną oddają zabawie. Zabawa, jak wszystkie inne rzeczy, tańszą jest na kontynencie niż u nas, bo narodom nie siedzi tam na karku upiór w postaci wiekopomnego naszego długu narodowego. Lekkość serca, połączone z lekkością powietrza, wydaje ten wesoły i świąteczny życia ustrój, na którego widok ociężałemu hypokondrykowi włosy dębem na głowie stawają. Przywykły myśleć ciągle o taxach i wietrze wschodnim, nie pojmuje, jak może taka siła ludu wybiegać za mury i bawić się wesoło. Jakże można tak mało znać respektu przed wydatkami i romatyzmem, pomyśli sobie. Wstępuje do hotelu i rozkazuje dumnym głosem przynieść sobie obiad do osobnego pokoju, bo charakter jego nie cierpiący wspólności nie pozwala mu udać się do sali jadalnéj. Sala jadalna jest zaś w modzie w tym kraju, jak powszechnie w całéj Europie. Anglik sam jeden nie może z tém pogodzić się zwyczajem. Spostrzeże salę bogato przystrojoną, i zaraz sobie obliczy, co to wszystko za ogromny pieniądz kosztuje, a nakoniec robi konkluzyą, wszystko naturalnie mierząc miarą Angielską, że to stracona spekulacya. Prawda, nie włożył on tam swego kapitału; ale jakże potrafi oprzeć się instynktowi?

Nieograniczone i zbyt śmiałe zaufanie, pokładane w władzy złota, jakoby wszystkiego za jego pomocą dopiąć można, jest pierwszą naszą słabością, któréj się w całym świecie pozbyć nie umiemy. Nie dosyć, że w duszy wiele zawierzamy ciężarowi trzosów naszych, trzeba jeszcze, abyśmy je wszystkim oberzystom i pocztarkom nad uszami trzęśli, póki przewagi naszéj dostatecznie nie pojmą, przy czém robimy jeszcze i to przypuszczenie, że ludzie ci dosyć są ubodzy i podli, aby za nasze pieniądze tańczyli, jak im zagramy. Oczywiście próżność i bezczelność naszą drogo opłacamy. Mylord anglais jest hasłem do plądrowania, zdzierstwa i podłéj żebraniny; wszystkich dokuczeń, na jakie z tego powodu jest wystawiony, sam sobie Mylord Angielski winę przypisać powinien. Spotkałem jednego razu w Leodyum starego jegomości, który całą Belgią i nadreńską okolicę aż do Nassau zwiedził, nie rozumiejąc ani słówka jakiegokolwiek języka pod słońcem,

prócz swego ojczystego Angielskiego. Zdanie jego było, że cały świat można przejechać, nie umiejąc żadnego języka, byle się tylko miało huk pieniędzy. Gdzie co zapłacił, nic nie wiedział; metodą jego było wsuwać rękę do kieszeni, i wyciągać garść złota; tym sposobem w każdéj potrzebie poradził sobie; oszukiwano go, wiedział o tém dobrze, ale nie dbał; i cóż — mógł rozrzucać, i chciał być oszukiwanym. Pytamy się teraz każdego rozsądnego człowieka z któregobądź kraju, czy taki wręcz wypowiedziany system, który za złodziejstwo wystawia premią, nie osławia i nie czyni śmiesznymi tych, co go zastósowują?

Anglicy, którzy się osiedlają na lądzie stałym — ludzie z ważnych przyczyn opuszczający rodzimą ziemię, szczególniéj z jednéj, do któréj się nie zawsze chcą przyznać — nie są w ogóle przystępniejsi dla rozsądku i wolnomyślności. Wyglądają powszechnie ciemno i ponuro jak chmury przed burzą. Dla delikatnych wrażeń nie mają czucia; trzeba ich mocno uderzyć, aby ustąpili. Pokrywa przesądów nie mięknie, trzeba silnych i częstych uderzeń, aby ją roztłuc. Najgorszą rzeczą jest, że z powodu bliskiego położenia jeograficznego i ekonomicznych względów pobyt sobie obrać są zmuszeni w tym właśnie kraju, którego mieszkańce w tym do nas stoją stósunku, co ogień do wody. Marudna duma Anglików i szalona próżność Francuzów, wydają mieszaninę jak najśmieszniejszą. Najlepszém tego poparciem jest historyjka, za doskonała, aby mogła być prawdziwą. Francuz jaki chełpi się przed Anglikiem ze zwycięztwa pod Waterloo: „Zwycięztwo?“ krzyknie Anglik — „przy kim zwycięztwo? przy nas, bośmy — my pole bitwy otrzymali.“ — „O mon Dieu!“ — odparł Francuz — „czegóż to dowodzi? My wygraliśmy bitwę, ale wy byliście tak uporczywi, iż nie chcieliście w żaden sposób być pobici; myśmy nie mieli dosyć cierpliwości i zostawiliśmy wam pobojowisko.“ — Anglicy osiedlają się we Francyi, zwykle dla tego to czynią, aby żyć tanio i dzieciom dać wychowanie bez wielkich kosztów. Familia nie może w Anglii bez wielkiego ograniczenia się, a większego jeszcze upokorzenia, żyć z téj sumki, z którą we Francyi wygodne życie prowadzić może. Oto jest magnes, który tyle osób z małemi dochodami na brzegi Francyi przyciąga. W miasteczku Dinan mieszka około 300 Anglików, w Tours nad Loirą około 2,000, dawniéj mieszkało więcéj jak trzy razy tyle, póki nie powstały nieporozumienia, które gminę rozproszyły; Avranches, St. Malo, St. Serrau przepełnione są Anglikami; w Boulogne mieszka 6,000, stósunkowo w Rouen, Caen, Havre, i innych miastach. Nie idzie się z samego kaprysu na wygnanie do cudzego kraju, gdzie obcym mówią językiem, obce panują zwyczaje, gdzie brak znajomych twarzy i poufałych stósunków; trzeba ważnego powodu, dla którego się takie ofiary niesie. Takiego powodu właśnie nie brakuje. Z tysiącem niedogodności mają w kraju swoim do walczenia; nie mogą się utrzymać na stanowisku, które im stósunki i skłonności naznaczają, a potém mają dzieci, które obowiązani są utrzymać, wychować i na nogi wystawić. Przeto szukają sobie kraju na siedlisko, gdzie żyć mogą bez wielkich wydatków, i gdzie nikt na nich nie zważa. Nie dziw, że tylu Anglików żyje po tanich krajach; temuby się raczéj dziwić wypadało, że liczba ich jeszcze bardziéj nie rośnie.

We Francyi osiedlony Anglik nie jest tymczasem, mimo wszystkich tych korzyści, kontent z pobytu swego i nowego życia. „Tak,“ powtarza sobie, „tanioć się tu żyje, ale toć i wszystko; o towarzyskości, o rozsądném obcowaniu, nie ma ani mowy; tu się tylko wegetuje; najrozstropniejszém jeszcze jest, ograniczyć się na sobie, jeść i pić, co dusza pragnie.“ Chcielibyśmy się zapytać biednego tłuściocha, jakie miał i czy w ogóle mieć mógł towarzystwo i pożycie u siebie w rodziméj ziemi? Jeźli zaś miał, dla czego tak nędznie ojczyznę swą porzucił? dla czego? oto wiedział, że dawać u siebie towarzyskie zabawy i robić wizyty w Anglii, że już to jedno pochłonęłoby całe jego dochody. W miastach zaś Francuskich nie zbywa wcale na dobrych towarzystwach, tylko, że są zwykle za wykształcone na Angielskiego zbieracza. Wszędzie po prowincyach znajdują się uczeni ludzie, znawcy literatury, pisarze; chociaż Paryż jest ogniskiem wszelkiego politycznego i modnego życia we Francyi, przecież nie należy myśleć, aby we Francyi wszyscy wykształceni i wyższych zdolności ludzie tak zbiegali się do Paryża, jak w Anglii do Londynu. Towarzystwo znalazłby więc osiedlony Anglik, gdyby tylko znalezionemu wyrównał.

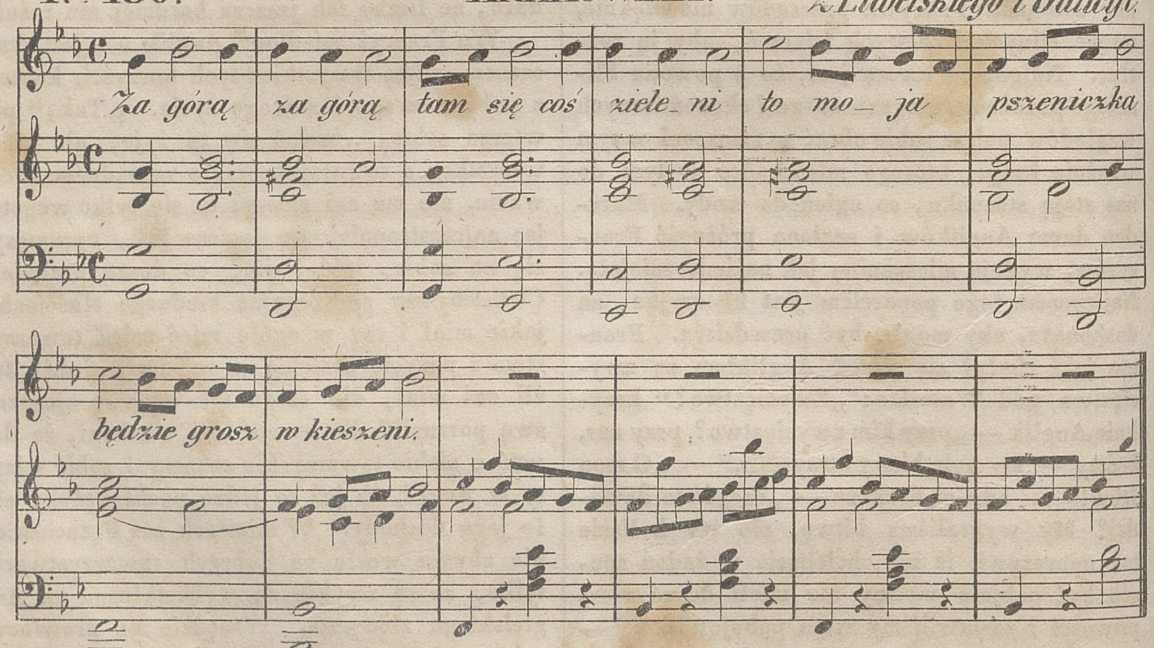
Powszechnym skutkiem Angielskiéj osady

w Francuskiém mieście, jest zepsucie ostatniego. Staje się z czasem przeangielszczoném, Francuskiém miastem? ani to, ani owo, tylko nędzną mixturą z obydwóch, niby bifsztyk angielski w gęstym cybulowym sosie. Francuzi chętnieby z gośćmi swymi zawiązali stósunki, lecz chropowatość i oziębłość Anglików tamuje wszelkie ich kroki. Anglicy nie poddają się panującym zwyczajom, lecz swoje zaprowadzają; nie ma Angielskiéj osady, któraby nie była w miniaturze obrazem Anglii; do któréjby, o ile tylko było można, wszystkich zwyczajów Angielskich żywcem nie przeniesiono, bez najmniejszego względu na dążności i przesądy krajowców! okolicznych mieszkańców. Anglicy jedyni to robią, i jedyni robić mogą. Pokładają w tém niejaki honor, aby przeciwko przesądom świata się nadymać i kolce charakteru swego z drażliwością jeża światu okazywać.

W całém tém napuszeniu i pieniężnéj dumie przebija się prawdziwe sknerstwo, i okazuje co chwila nędzny, spekulancki charakter. Nawet w tanich okolicach, w których osiedli, uskarzają się ciągle na kosztowność życia, drożyznę, na oszukaństwa, których są ofiarami. Zwykłą przeciw Francuzom wnoszą skargę, że dwojakie mają ceny: Angielską i Francuską; ale wina, tak w tym, jak w wielu innych podobnych razach, ciąży całkiem na kupujących. Gdyby Anglicy chcieli się nauczyć żyć tak jak Francuzi, mogliby się spodziewać równego jak Francuzi obejścia.

Nie mniéj osobliwe jest pożycie garstki Angielskich osadników między sobą. Nieznośna pycha, osobista próżność i stanowe przesądy ojczystego kraju, tak bujno krzewią się na odnodze, jak na szczepie. W najwyższym stopniu są nawzajem podejrzliwi. Nikomu nie wiadomo, dla czego świeżo przybyły sąsiad rozbił namiot w tym tanim okręgu, ale złośliwość płodna w dorozumiewania. Ale dosyć już tego! Mógłby się kto zapytać, dla czego zamierzyliśmy odkryć te słabości narodu naszego. Odpowiadamy, ponieważ woleliśmy sami to zrobić, jak innym do zrobienia zostawić, i ponieważ nie mamy powodu ukrywać przed światem, że nasza uczciwość i odwaga większą jest niż próżność.

№186. KRAKOWIAK. *Z Lubelskiego i Galicyi.*



Text do Nru. 186.

Za górą, za górą, tam się coś zieleni;
To moja pszeniczka — będzie grosz w kieszeni.

Nikomu jéj nie dam — w Krakowie ją sprzedam;
Tam dobrze zapłacą — będzie hulać za co.

Wacław z Oleska, P. l. G.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)